558в

10/13

STACHOWI.

POEZYE

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

Bronisława Ostrowska

POEZYE

LWÓW 1905
POLSKIE TOWARZYSTWO NAKŁADOWE
Skład gł. w Księgarni Narodowej we Lwowie.

A tę zabawkę najgorszą
Bóg synom człowieczym dał,
aby się nią trapili.

Ecclesiastes.

ŁODŹ MOJA

*   *   *

Niewcielonemi snami jam bogata,
A kiedy tworząc z mej skarbnicy czerpię,
To jak żniwiarka jestem w skwarze lata —
Co echo słońca widzi w swoim sierpie.

Dr. Edwardowi Schuttowi

Łódź moja

Łódź moja tak spokojnie fal błękity porze,
Kołysząc lasów brzeżnych topielne odbicia,
Że — płynąc — mam pod sobą odklętą w jeziorze
Całą królewską piękność ginącego życia.

Jarzębiny i kalin gąszcz o krwawych gronach
Purpurowe jagody otrząsa w sitowie;
Kraski modre migają w złotych drzew koronach,
Osypując skrzydłami więdnące listowie.

W górze południe smuży pyłami jasnemi,
Zatapiając świat cały słońca mgłą rozlewną,
A ja w naturze wkoło czuję duszę ziemi
Nieznaną i tęskniącą i ludzkiej pokrewną.

Czuję ją w zwiędłych liści gorejącem złocie,
W mrących kwiatach nadbrzeżnych wpatrzonych w błękity,

W każdej chmurze przestrzennej w jeziorze
odbitej,
W każdem echu gasnącem, w każdym fal po-
wrocie.

I ukojenie wielkie płynie mi od świata,
Co zamiera tak piękny w swej weselnej szacie,
Że mi się w jeden pierścień ciąg stworzenia
splata
I chcę do drzew i wiatrów i chmur wołać:
bracie!

A śmierć zda mi się cieniem, który ciska życie,
Jak wielki ptak, lecący w słoneczne topiele,
Który, skrzydłem pragnącem szybując w błę-
kicie,
Czarne wędrowne widmo na niziny ściele.

Że dzieci, co się bawią na nagrzanym piasku,
Widząc żałobnych skrzydeł, wędrujące żagle
W pogodnego południa płomienistym blasku
Przerażone zastygną i przycichną nagle.

A ptak z oczu im niknie stopiony w oddali,
I tam, w bezmiarze światła lśniąc jak gwiazda
złota,
Kładzie skrzydła zmęczone na powietrznej fali
I kąpie się w słonecznej krynicy żywota...

Gdy się zapatrzę w zstępującym mroku
Na pola puste i w sen rozpłynięte,
To mi się rodzi w rozmodlonem oku
Wejrzenie inne, w bezmiarze poczęte.

Jako błyskawic poświata daleka
Światło mi płynie przez obszar ugorny,
Co zagonami smużnemi ucieka
W rozokolony krajobraz wieczorny.

I wiem, że skrzydła są duchom potrzebne,
Ale nie skrzydła rybitw, ni sokołów,
A feniksowe, rozwarte, nadniebne, —
Co nieśmiertelnie powstają z popiołów.

Nie chcę, by pióra z ramion mi wyrosły,
Jako niebieskim ptakom — z Bożej łaski, —
Bym jako wiosny rozkochane posły
Leciała w wonne południowe blaski:

Bo wiem, że tylko skrzydła, co się rodzą
Z przepalonego na popioły ducha,

Ludzkie tęsknoty w nieśmiertelność wodzą,
Gdzie dal niebieska ich lamentu słucha.

Z niezamąconej, beznadziejnej głuszy
Tylko feniksa lot mię wyrwać może, —
Więc o kruszący piorun dla mej duszy
Modlę się w smętnym, szerokim wieczorze.

Duch jeden dobry zawsze jest nademną,
Gdy chcę w kształt wcielić jasne wizye moje;
I jakąś radę mi szepce tajemną,
Przed którą drżąca i niepewna stoję.

A kiedy wreszcie oblecze się w ciało
To, co mi było najdroższem pragnieniem, —
On się uśmiecha swoją ciszą białą
I w mroczną pustkę rozpływa się cieniem.

A ja zostaję, i widzę to dzieło
Takie niebieskie wspomnieniem i święte,
Co się w głębinach mej duszy poczęło,
A teraz dźwięczy w wyrazach zaklęte;

I słyszę tylko słowa, szmerne w głuszy
Jako fontanna, płacząca w marmurze, —
I chcę napróżno znaleźć głos mej duszy
W ich monotonnym, rozpłakanym chórze.

Zniknął duch dobry ze swą radą jasną,
A tu dźwięk każdy jego ciszy przeczy.
Wyłkane z piersi sny, — jak iskry — gasną
Przed wiecznym smutkiem dokonanych rzeczy.

CUD-KROLEWNA

Cud królewna złotowłosa,
piękna jak zorza,
Siedzi w słońcu na tarasach
nad brzegiem morza.

Włosów swoich zwój grający,
warkocz harfiany,
Opuściła na topiele,
na srebrne piany —

I tak siedzi, zasłuchana
w słoneczną ciszę,
A warkocze jej grające
fala kołysze.

Modre oczy cud królewny —
dwa Boże gońce —
Wyleciały na niebiosa,
na złote słońce.

Wyleciały jak orlice
śmiałemi loty,
Utonęły w tarczy słońca
w jasności złotej.

Biały żagiel — skrzydło śnieżne —
błysnął w oddali:
Łódź rybacza mknęła chyżo
po modrej fali.

Szybowała z ciepłym wiatrem,
jak lotna mewa,
Do królewnej, której warkocz
na fali śpiewa.

I zapytał młody rybak
ze swojej łodzi:
»Ktoś ty pani, zadumana
w słońca powodzi?

»Ktoś ty pani, krasą lica
podobna róży,

»Która patrząc w oko słońca
płatków nie mruży?

»Otom rozwiał na wsze wiatry
żagle tęskniące,
»Szukający oczu jasnych,
wpatrzonych w słońce!

»Umęczone moje żagle
i serce moje, —
»Zaż przy twoich stopach pani
tęskność ukoję?«

Cud królewna z swego brzegu
odrzekła smutnie,
A głos dzwonił nad wodami
Jak złote lutnie:

»Nie rozumiem ciebie panie,
ciemne twe słowa,
»Noc wieczysta lice twoje
przedemną chowa.

»Mrok tajemnic mię otacza,
groza bez końca,
»Tęsknię jeno a wyglądam —
nie widzę słońca!

»Ślepe oczy ślę na błękit
skargą daremną,
»A szumiące wielkie morze
płacze nademną«.

I powracał na głębiny
żagiel — ptak biały, —
A warkocze cud królewny
na falach grały...

Marzy mi się wyspa na jeziorze:
Na dalekiem, szumiącem jeziorze,
    Gdzie u brzegów senne fale mrą.
W zwierciadlane ramy wód ujęta,
Złotą ciszą od świata odklęta,
    Porośnięta cała maków krwią.

Purpurowy kwietny łan się chyli,
Na nim stada żałobnych motyli —
    Zatracony, oszalały rój —
A dokoła tafla wód szumiąca
Odzwierciadla złoty pożar słońca,
    Lub kołysze chmur skłębiony zwój.

Ponad maków dyszącą czerwienią
Szklanej góry kryształy się mienią,
    Szklanej góry lśniący świeci zrąb:
W zwierciadlane tafle wód ujęta,
Złotą ciszą od świata odklęta,
    Strzela szczytem w modrą nieba głąb.

Zamek cudu tęczą na niej świeci —
Czarodziejski złoty sen stuleci,

2*

Gdzie pod niebem śni królewna cud. —
Promień słońca w oknie zamku przędzie
I pieśń rzuca za wyspy krawędzie,
Na dalekie, szumne głębie wód.

Promień słońca na złotej kądzieli
Raz w raz skrami pod jej ręką strzeli,
Raz w raz ptakiem się poderwie pieśń;
W smutnych oczach łzawy blask migota,
Ptakiem z piersi zrywa się tęsknota
Za uroczną szklanych komnat cieśń.

Krwawo gaśnie niebo na zachodzie,
Żar się złoty płomieni na wodzie:
W szklanej górze miljon świeci słońc!
W złotem oknie królewna się słania,
Śpiewająca wieczny hymn kochania,
Nieprześnione swe zaklęcie śniąc.

Jam jest zaklęta królewna
Na szklanej górze.
Włosy mam szczerozłote,
Z ust sypią mi się róże
I pereł biały grad.
Gdy warkocz mój rozplotę
We słońcu staje świat,
Jam róż pąkowych krewna,
Zaklętych snów królewna —
Marzenie dusz.

U moich białych stóp
Bohatyrowie giną,
By posiąść mnie...
I piękny mają grób
W morzu, co szumi u mych stóp
Topielą siną...

Wśród księżycowych nocy
Patrzę z marmurów krużganka
Na morze,

I śnię,
Wsłuchana w wodną ciszę,
Żali na wód przestworze
Słowa zaklęcia nie posłyszę,
Rycerza cudu nie obaczę —
Mego kochanka...
Lecz cisza wkoło, sen, pustkowie...
Więc na mej szklanej górze
Płaczę...

W koronie złotych skier na głowie,
W królewskiej dumy mej purpurze
Czekam na mojej szklanej górze
I płaczę.

O, płyńcie łzy.
Tęczowe me klejnoty,
I tęsknoty
I sny!
O, płyńcie...
Na ziemi, czy na gwiazdach, czy w bez-
końcach, —
Na spadających słońcach,
Szukajcie mego kochanka!

Jeśli jest nędzny i nagi
Oddam mu moją królewską purpurę,
Łez moich perły i rubiny krwi!
Jeśli niemocny dam mu władny grom
Jeśli bezdomny w mem sercu znajdzie
dom —
Posiędzie we mnie wiecznej mocy zdrój
Kochanek mój...

A kiedy go upoi
Woń włosów mych i snów,
Gdy czary go oplotą
Spocznie na piersi mojej,
A dusza jego cała
Spłynie pieszczotą
Słów:

»O biała
Jakaś ty ładna!
Jak mię poisz twoich włosów wonią
Jak mię koisz...
O ładna,
Jesteś mi białą gołębicą,
Co mi oczy skrzydłami ocienia

Od łun płomienia...
O moja...

Cięży mi brzeszczot hartowny i zbroja,
Gdy na twej piersi spocznę, —
Sny złote krążą pod przyłbicą
Kołyszą słodko twe oczy uroczne
Jak głąb przejrzystego zdroja...
O moja!«

A gdy tak mówić będzie mój Pan, —
mój rab, — mój lew!
Pęk piorunów rzucę mu w krew,
Pęk piorunów roztoczę nad skronią —
Ja — władna! — —

Królewna Maruna perły nizała
Na długą nić:
W zamkowej komnacie smutna i biała
    Królewna Maruna...

Przeczuciem żałobnem skroś komnat sunie
Jesienny zmierzch...
Rozsnuły się perły smutnej Marunie
    Przeczuciem żałobnem...

Na marmur posadzki broczy z witraży
Zachodu krew;
Marunie łzy wielkie zbiegły po twarzy
    Na marmur posadzki...

Królewna Maruna za bram krawędzie
Tęsknotę śle:
Złociste ornaty łzami szyć będzie
    Królewna Maruna...

KRYSTA

W proporców szumie szedłeś. Bramy grodu
Przed twym orszakiem naścież się otwarły, —
A ja — przebiwszy wielki tłum narodu,
Widząc, że idziesz jak anioł umarły,
W krwawo gasnącą słoneczną pożogę —
Klękłam, włosami zamiotłszy ci drogę.

Tyś spojrzał, panie! a twoje źrenice
Były jak w locie drapieżne jastrzębie.
A takie chybkie, jak dwie błyskawice, —
Co upadają we wodę, na głębie,
I dreszczem gromu przelecą pod falą,
Aż w złotą skałkę piasek dna przepalą.

Odtąd już byłam twoją. W domu męża
Przędząc len biały z dziewkami w świetlicy,
Słyszałam chrzęsty rycerne oręża —
Koronę złotą, nakształt błyskawicy,
I konia, który szedł pod tobą w pysze,
Patrząc jak bojaźń tłumami kołysze.

A serce miałem niespokojne w łonie,
  Skroś przepalone twoich oczu gromem:
Jedna skra jeszcze, a w pożar rozpłonie!
  W pożar, co później powstał ponad domem
I wstrząsnął ściany zmurszałe, i węgły,
  Że się zachwiały w ogniu — i rozprzęgły.

Lecz zanim dom nasz u stóp twoich runął,
  Przeżyłam takich dni i nocy wiele,
Kiedy kruk zda się w komnatę wefrunął
  I swoje pióra przed oczy mi ściele:
A w onej czerni piór, wieczystą zmorą,
  Dwa żużle oczu twych — jak piekło — gorą.

Nieraz, bywało, zaciskam powieki,
  Na oczach ręce rozpalone kładnę —
Lecz te dwa złote gorejące ćwieki
  Umiłowane, królewskie i władne
Wszystko przebiją i wszystko przemogą, —
  I palą serce miłością i trwogą.

A kiedy rankiem powstaję z łożnicy,
  To w chusty kryję moją twarz wybladłą:
Żeby nie zdradzić złych snów tajemnicy;

Żeby łez kilka tajonych nie padło
Na męża złoty pas. By nie zdradziły
Łzy, czego skrywać już — nie miałam siły.

Lecz, chociam walczyć nie mogła z kochaniem
Gdy się wpatrzyłam w mężowe oblicze,
To powiadałam: tak chybać ostaniem!
Takie w źrenicach miał skry tajemnicze
I takie straszne wpatrzenie się we mnie...
Przepomnieć chciałam o wszystkiem —
daremnie.

Raz — mąż był właśnie wyruszył na łowy, —
Wybiegłam z domu tęsknicą szalona
W pszczółmi brzęczący wonny sad lipowy;
Stuletnią lipę objęłam w ramiona
I z szlochem wielkim tuliłam się do niej:
Niech koi brzękiem swoich pszczół, niech
broni!

Nie wiem jak długie płakałam godziny,
A sad brzęczeniem mię koił miodowem, —
Gdy ktoś się cicho wysunął z gęstwiny
I powitawszy mię jedynem słowem:

Król! — do nóg skrzynkę porzucił mi złotą
I znikł, gdzie murem dzikie krze się plotą.

I osypały się z skrzynki na trawę
Uryańskie wielkie perły, białym gradem;
Rubiny ciemne złowrogie i krwawe;
Szmaragdy jagód świetnych winogradem;
Przepasek złotych połyskliwe żmije,
Którym ze źrenic blask brylantów bije...

Zdały się pełzać mi do nóg te węże,
Rozmaitemi ogniami grające;
A mnie się w piersi żar pragnienia lęże,
Gdy — u nóg mając brylantowe słońce —
Śnię, że to twoich oczu łyskawice
Ogniem brylantów mi palą źrenice.

I przystroiłam się cała w klejnoty,
W wisiory pereł ciężkie i w łańcuchy,
Aż ze świecideł szedł za mną brzęk złoty...
A lipy na mnie sypały swe puchy...
I tak wracałam powoli, w zadumie,
W brzęku świecideł i w starych lip szumie.

Nikogo na on czas nie było doma:
  Dziewki służebne jeno po komnatach
I moja stara macierz niewidoma,
  Przędąca kądziel w świetlicy. Po latach
Pamiętać jeszcze będę tę godzinę,
  Gdy tak we złocie szłam w progi matczyne.

Cicho u okna siedziała z kądzielą,
  A całe w słońcu wiło się przędziwo...
Pod lnianych rąbków nieskalaną bielą
  Zdaleka głowę jej poznałam siwą,
I ślepych oczu wzrok — dziwnie daleki —
  Z pod koralowej idący powieki.

Z wrzeciona snuta nić w pożarze słońca
  Cała promienna zdała się i złota;
Rzekłbyś z pod chudych białych rąk — bez
końca
  Promień słoneczny wijąc się migota —
A ona siedzi sztywna taka, biała,
  Jakoby dziwna mara — już bez ciała...

Snadź usłyszała krok i złote brzęki
  Bo nagle przędza jej pękła. Bez słowa

Spojrzeniem jeno i skinieniem ręki
  Zdała się pytać: kto? — matko, królowa!
I w wyrzeczonych słów dławiącej męce
  Padłam — całować jej stopy i ręce.

Nic mi nie rzekła, lecz na włosy moje
  Spuściła cicho swe dłonie bolesne,
(Swoich trzęsących się, biednych rąk dwoje)
  A żadne słowo dzielące, przedwczesne,
Z ust jej nie wyszło: długo trwała w ciszy,
  A mnie się zdało, — że mą duszę słyszy.

I ciągle milcząc schyliła się do mnie
  I pocałunkiem podniosła mię z ziemi:
Snadź zrozumiała wszystko — tak ogromnie —
  Że nie raniła słowami próżnemi.
I nagle — padła mi na pierś — z rozpaczą,
  Płacząc, jak tylko ślepe matki płaczą...

Tej samej nocy Panie, byłam twoją...

. . . .

. . . .

ARABESKI

Nad obudzonej ziemi łonem
Dzwon bije głośno, bezustannie,
W powietrzu wiosną zbłękitnionem...
    Anioł zwiastował Maryi Pannie.

W jasności cichej i radosnej
Topi się złotych wierzb pąkowie;
Pod lasem chodzą aniołowie
    Szukając pierwszych kwiatów wiosny.

Ponad zruszoną ziemią płynie
Odkupiający wid kalwaryi:
W cudu dziewiczych snów godzinie.
    Anioł zwiastował Pannie Maryi.

Dwakroć szablicą cięta, w gwiezdnej aureoli,
— Duma cicha twarz Maryi na złotym obrazie —
Ciemna jak świeża skiba rozoranej roli.

Przed nią las ziół przyleśnych i wiosenne bazie —
Palmy kwietnie: (Takiemi jej syna przed męką
Witał lud, Jeruzalem w radosnej ekstazie).

Co wiosna z drzew zbudzonych zbożną rwane ręką
Świecą przed nią te dawne boleściwe palmy...
Co wiosna płyną ku niej radosną podzięką.

Korne męki Jej syna czekające psalmy.

W wonnej pasiece na pola otwartej,
Owity w wianki i wiązanki zielne,
Z starego krzyża Chrystus wpół zatarty
Patrzy od wieka na wyroje pszczelne.

Patrzy na ulów wyzłacane rzędy,
Na pszczoły gwarne wśród słońca i woni,
I w pstrego ziela migotliwe grzędy
Zmęczoną głowę do spoczynku kłoni.

Gaj wysmukłych cyprysów i głuchy śpiew chóru,
Laury ciemne i lampy płonące za kratą:
W grobie leży, złocistą okryty makatą,
Blady posąg Chrystusa z białego marmuru.

Wizya wielkiego ołtarza w świecach jarzących
i w złocie,
W dymy błękitnych kadzideł złota monstrancya
spowita
I tłum żarliwy, zwarty, w wyczekującej
tęsknocie
W ciemnej nawie kościelnej — jak falujący łan
żyta.

Nagły wybuch organów i dzwonów z wieży
kościelnej;
I grom zbudzonej pieśni — wstający hymn
alleluja
Z tysiącznych piersi wyrwany, wznosi się,
łka — nieśmiertelny —
Łopoce świec płomieniami, we mgłach kadziel-
nych się buja.

Zmartwychwstającym gromem rozwiał ulotne
kadzidła,
Rozpiera mury kościelne! grzmi w arkad
sklepionych stropie!
Zda się kościół się zerwał, — rozwinął
tysiączne skrzydła, —
I płynie głębią niebieską w złotych błyskawic
potopie.

Jur

Na tle krwawiącem słonecznej pożogi
Mając za sobą łan zbożowy senny
Stoi wśród polnej opuszczonej drogi
Nawpół zwalony święty Jur kamienny.

W zczerniałej, starej, mchem zarosłej zbroi
Z obłamkiem dłoni sterczącej bezwładnie
Ofiarnem widmem w krwawej łunie stoi,
Gdy wkrąg po łanach zmierzchu śnieć się kładzie.

W zmierzch patrzy święty pustemi oczyma
I utrąconą swą ręką zwycięzką
Zda się powałę zórz płonących trzyma,
Broniąc okolne wsie przed ognia klęską.

Pod mojem oknem pluszcze kroplista fontanna
W jesiennym, pełnym złota i purpury sadzie;
A kolumna jej śpiewna, wzlatująca, szklanna —
Tęcze pieszczot słoneczych na marmury
kładzie.

Tęsknicę swą za słońcem strzelistą i wieczną
Śpiewa pod mojem oknem w szarych dniach
jesiennych.
Przeczuwaną w snach czasem dobrą wieść
słoneczną
O błękitnych roztopów oddalach promiennych.

I choć mię od niej dzieli cała dal żywota,
Choć mi gwar głosów ludzkich jej szemranie
głuszy,
Słyszę ją zawsze, ciągle — zda się w mojej
duszy
Rwie się wzwyż i spadając łka — moja tęsknota.

Obłąkana

Obłąkana chodziła dziewczyna
W rozszumiały bór nocą miesięczną:
Gdzie najbujniej podszyta gęstwina
Obłąkana chodziła dziewczyna...

Aż do leśnej krynicy samotnej —
Z konwią w ręku — przez dzikie ostępy
Przedzierała się w chaszczy wilgotnej —
Aż do leśnej krynicy samotnej...

I łapała odbicie miesiąca
Konwią swoją z bieżącej krynicy;
Ponad wodą chyliła się drżąca
I łapała... odbicie miesiąca...

Suchotnicze blade ręce
Na błękitnem tle posłania:
Długie, śpiewne, roztęsknione
W zastygania cichej męce.

Kwiaty jakieś zapomniane
Cicho więdną w swym wazonie,
Rozsiewając wkoło wonie
Melancholji i kadzidła...

Poprzez okno słońce złote
Wpada pylną zawieruchą,
I na bladem, chłodnem czole
Kładnie lekką swą pieszczotę.

A w słoneczną kurzu smugę
Właśnie spuścił się z powały
Krotochwilny pająk mały —
I na przędzy swej się buja...

BRAT JAN

Wcześnie wyszedł dziś do sadu z celi
brat Jan.

W sianem przez liście zórz zielonem świetle
stał sad klasztorny, w bieli
porannych ros.
W okiści mgieł przyziemnych puszyły się
mietle
i budził się pstrych ziółek wonny łan.

Brat Jan miał ciszę w sercu i modlił się w głos:
»Oto cię Panie sławi wszechstworzenia chór —
ptak każdy pieśnią — każdy kwiat w rozkwicie
modli się tobie wonią —
i żywie każdy stwór
pod Twoją dłonią;
— ja myśli Twej o Panie święcę całe życie,
i mądrość Twoją wielbię, i Twą moc
o Panie.

Oto pierzcha z Twej woli krótka letnia noc
i słońce wstanie:

czekają Twego słońca bujne kiście ziół,
czekają Twego słońca rozbudzone ptaki,
i złote roje
pszczół,
ażeby z kwiatów zbierać miód na Twoją chwałę
i wosk na świece twoje, —
i wielbi dobroć Twoją stwór wszelaki...
Ja myśli Twej o Panie święcę życie całe.

I dzięki składam Tobie, żeś mi pojąć dał
dzieła Twego skończenie ogromne i czyste,
żeś mi dał precz odegnać zgubny świata szał.
Dzięki Ci składam Chryste«.

Z klasztoru dobiegł czysty sygnaturki dźwięk
i niósł się w sadu ciszy.
Brat Jan ze śnieżnej grzędy zerwał lilji pęk
i szedł na ranne pacierze...

Po drodze długi szereg mniszy
pozdrawiał go imieniem Chrysta;
za progiem
z ołtarza Maryi patrzała nań Przeczysta,
ciemna jak świeżo zaorany łan.

Brat Jan
na ołtarzu postawił lilije,
a duszę mu jasnością zalało przymierze
z bracią i z Bogiem.

Z ogrodu płynie woń akacyi
i rośnych ziół,
chór stary drży od suplikacyi,
z starych organów rozjęk bije —
smugami płynie dym kadzielny,
otęczą barwnych mgieł się wije
wkrąg świętych czół...

Z ogrodu płynie woń akacyi,
chór stary drży od suplikacyi:
o Święty! Mocny! Nieśmiertelny!

Po modlitwach brat Jan w złote rano
do swoich biednych szedł z świętej klasztoru ciszy
w wielkiego miasta gwar.

Pod ścianą
stała dziewka w rudych włosów warkoczach,
wabny dokoła ciskająca czar,
z gwiazdami w oczach.

(Rybaczka żądz, sny ludzkie w sieć warkoczy
łowi).

Z litością patrzył brat Jan na zbłąkaną:
azali
do nóg mu nie upadnie, jak niegdyś Mistrzowi
jawnogrzesznica?
zali z jej ust nagłego szlochu nie posłyszy?
zali jej srom rumieńcem nie spłomieni lica?

Czekał, a dziewka iskrami złotemi
w jednem wejrzeniu sypnęła nań z oczu
i... uśmiechnęła się.
Brat Jan poszedł dalej.

Gdy wrócił do klasztoru było już południe
skwarne,

pełne w sobie żywota spiekoty i drżeń:
miłością kwiatów wonne, pszczół rojeniem
gwarne.

W żarach opyłem sypał zielny łan, —
godzina złotych szałów i upojeń ziemi
biła w przezroczu. —

Dłużej niźli zazwyczaj modlił się brat Jan
w on letni dzień...

WIERSZE RÓŻNE

O baśnie białych królewien wśród chmur
Nad zwałem śnieżnych gór:
Rycerzy złotych prześwietlone zbroje,
Łabędzi długi obłąkany sznur!
O baśnie słońca o własne sny moje
Nad zwałem śnieżnych gór!...

Patrz dwoje: widzisz ich dwoje!
Słoneczny rycerz skrzydlaty
I jego biała królewna...
Rozkwitli w słońcu jak kwiaty,
Spletli się niby powoje;
Toń ich ponosi rozlewna,
Słońce prześwietla ich szaty —
Patrz, płynie rycerz skrzydlaty
I jego biała królewna
W zachodu złote podwoje...

Czego się zwracasz królewno?
Czego tak patrzysz za siebie?
Wyciągasz białe ramiona
Po jasnem niebie,

Wyciągasz śpiewne twe ręce
Niby zlękniona... stęskniona...
Szloch wiatru tobą kolebie,
Zrywasz się w bólu i męce...
Czego ty patrzysz za siebie?
Czego ty szukasz królewno!

Zerwałaś bajkę miłosną:
Wyciągasz dłonie w tęsknocie,
Dłonie we skrzydła ci rosną —
Już łabędź biały — już w locie —
Za czem? — Za snem?
Za zgasłej jutrzni snem?
Królewno — łabędziu biały,
Wiem, wiem,
Sny już się dawno rozwiały
Prześnione jasne dnia dziwo...
Wróć się królewno! wróć
Słoneczną miłość snuć
I konać śmiercią szczęśliwą...

Patrz, jasny rycerz twój
Na prześwietlonej łodzi
Ginie w słonecznej powodzi:

Blask go otacza dokoła,
Światła go niesie zdrój,
Już w słońcu ginie łódź
A on cię jeszcze woła:
Wróć! wróć!

Otchłań błękitu was dzieli,
Otchłań bezdennej topieli;
Noc już się czai po niebie,
Mgieł sidła jęła snuć —
Dłonie wyciąga do ciebie —
Wróć! wróć!

O, baśnie białych królewien wśród chmur
Nad zwałem śnieżnych gór!
Grody ogniste słonecznych zachodów,
Aniołów blady skamieniały chór,
Pożary złote na podścieli lodów,
Bitwy słoneczne powietrznych narodów,
Snów moich własnych rozbujały sznur
Nad zwałem śnieżnych gór...

. . . .

. . . .

Patrzą na ciebie okna domu twego
Patrzą jak oczy rozgorzałe w cieniu
Żółte promienie na sad od nich biegą
Ledwie spostrzegasz w źrenic obramieniu
Dwie pochylone sylwety kobiece
Ktoś w głębi domu gra: płonące świece.

Gra... Słyszysz skrzypce? Muzyka tęskniąca
Szlocha i z szmerem fontanny się łączy
Woń nocnych kwiatów falami roztrąca
A w twoją duszę dziwną słodycz sączy...
Dobrze ci: smętna skrzypcowa muzyka
Wiąże cię z życiem i w wieczność przenika.

A oczy domu wciąż patrzą na ciebie
Życie się patrzy z tych wślepionych oczu
Czuwa — nie wrócisz... wiatr sadem kolebie

Puszczyk niekiedy zahuka w pomroczu,
I szum, jak gdyby z pod gęstych konarów
Wracał świat dziecka odżegnanych czarów.

Słysz... struna pękła. Psa urwane wycie...
Cicho! ktoś przeszedł... Okna wolno gasną.
Zasnęło czujne pogwałcone życie,
Księżyc zalewa ogród falą jasną,
Wróć! — nie zaskrzypi próg... nie spotkasz
ludzi...
Skrzypce nie westchną... życie się nie zbudzi...

Wróć! widzisz stare znajome pokoje?
Zegar uderzył: raz! i znów jak w trumnie!
Patrz: biurko — noce nieprzespane twoje...
Nowe jest tylko, widzisz, na kolumnie
Twoje popiersie rzeźbione w marmurze:
Stoi w księżycu białe, zimne, duże...

Twoja twarz... stajesz i patrzysz w zadumie
Długo na uśmiech marmurowej twarzy,
Twój uśmiech. Wraca w dawnych wspomnień
tłumie...
Ostatni... pomnisz... a z nocnych witraży

Pada na marmur miesięczna poświata,
Że i on zda się być nie z tego świata.

Patrzycie w siebie długo nieskończenie
Z jednym, choć różnej tęsknoty uśmiechem;
W powietrzu słychać prawie to spojrzenie —
Słyszysz? krzyżuje się: przeczucie z echem,
Dwie złudy... W cichej miesięcznej jasności
Patrzycie w siebie: — w głąb nieskończoności. —

. . . .
. . . .
. . . .

P. Maryi Ochenkowskiej

Ruiny

Lipcowego południa polne zamyślenie:
Powietrze szafirowe drgające spiekotą,
Po polach żółciejące bujnych zbóż kiścienie
I łubinów pachnących gorejące złoto.

Od różowych koniczyn wiatry idą słodkie,
W pszczelnych migotach brzęczą białe pasy
gryki,
Słania się łanem szumnym kłosie żyta wiotkie
Wśród bezustannej, dzwonnej, świerszczowej
muzyki...

Zda się jakieś słoneczne płomieniste święto
Twórczem weselem ziemię kwitnącą okala:
Barwne przydroża dyszą tymianem i miętą,
Po łąkach traw nagrzanych przelewa się fala.

A tam wysoko nad kwitnącą ziemią
Białe ruiny cicho w słońcu drzemią.
I — niby żagle śnieżne i tęskniące —
Świecą, wieczyście zapatrzone w słońce.

Odwieczny klasztor, co się wali w gruz:
Cele na błękit ruiną ozwarte,
Widma (wdrzewione w pnie płaczących brzóz)
Nad mogiłami odprawują wartę,
I cicha wielkość przeminionych dni,
Na rudych szczyrach i dziewannach śni,
I twarze świętych stroi kurzów tęczą
W chórze, gdzie echa jak organy jęczą..

Pośród zburzonych długich korytarzy,
Gdzie się sznur mniszek w cieniu murów snuł,
Jak fresk tajemnych zaświatowych twarzy, —
Dziś buja gęstwia naniesionych ziół.

Pośród nagrzanych, sypiących się głazów,
Przesiąkłych pieśnią modlitewnych ech, —
Płynie upojny południowy dech
Piołunów gorzkich tymianu i ślazów.
A słońce z góry, jak monstrancya złota,
W zbitych witrażach tęczami migota.

Żniwo

O, praco zbiorów! o dnia złoty wichrze!
Kurzów słonecznych prześwietlone smugi,
Sypkim bursztynem ziarn kapiące śpichrze,
Na pustej ścierni szereg kopic długi!

O, spiekłej ziemi gorące powiewy!
Ładownych zbożem wozów rząd na drodze,
Kraso odzianych żeńców głośne śpiewy
I sierpów błyski w słonecznej pożodze.

O, dziwne, wielkie końca zbiorów święto!
Zda się, gdy z pola powrócą żniwiarze,
To sam pan Jezus swą twarz uśmiechniętą
Przez złote okno księżyca pokaże.

I ku strudzonym, przez ciche błękity
Ściągnąwszy dłonie dobrotliwe swoje.
Ciężki wian złoty, ze zboża uwity
Na swe niebieskie zabierze pokoje. —

P. Maryi Puzyninie

Wspomnienie

Czasem w pochmurne zimowe południe,
Kiedy po reglach ćma mgieł się przewleka,
Nagle się jasność otworzy daleka:
Witraż słoneczny malowany cudnie.

Pod mgły wilgotnej szarością i głuszą
Słońcem dalekie oświetlą się góry,
A lasy na nich okiścią się puszą —
Jak chór aniołów we mgle — białopióry.

Rzekłbyś na duchów krainę weselną
Nagle się okno niebieskie odmyka...
A mgła w ofiarę się zmienia kadzielną,
A w wietrze szumi anielska muzyka...

Że chce się klęknąć, i twarz ukryć w ręce,
Ślubując jasne aniołom przymierze.
A w sercu pachną wspomnienia dziecięce,
I szemrzą słodko matczyne pacierze...

Górski cmentarz. W posępnej przegniłej zieleni
Drzemią cicho rzędami mogiły przygodne,
Wśród smereków i krzyżów mgły się włóczą chłodne
I ta wiosna — smutniejsza od późnej jesieni. —

Rzekłbyś, że tu umarła wszelaka myśl żywa,
Że te groby rzucone zostały w przelocie,
I nikt się już za niemi nie zwraca w tęsknocie,
Ani rozpacznym krzykiem do życia nie wzywa.

Niezamącona cisza i spokój dokoła:
Tylko w dole gdzieś potok z wartkim szumem płynie,
Woda huczy w dalekim pracowitym młynie,
A dzwon południe głosi na wieży kościoła.

I wraz wchodzi na cmentarz przez odparte dźwierze
Kobieta w żółtej chustce na głowie pochyłej;
Klęka u rozniesionej samotnej mogiły
I — żegnając się głośno — zaczyna pacierze. —

Pokotem leży ścięty las
Pod bladem niebem jesieni
Pokotem leży ścięty las,
I tęczą swoich zmarłych kras
W zwiędłem listowiu się mieni.

Leżą w śmiertelnym, głuchym śnie
Stuletnich buków zręby...
Leżą w śmiertelnym głuchym śnie
Prastarych jedli złote pnie
I święte kapłańskie dęby.

Słońce zapada w morze krwi
Nad bojowiskiem boru,
Słońce zapada w morze krwi,
A ponad światem cicho śni
Wilgotny smętek wieczoru.

Gwiazdami siewna wstaje noc, —
We mgły odziana chłodne, —
Gwiazdami siewna wstaje noc,
I nad olbrzymów padłych moc
Rozwiesza sny pogodne...

Rzekłbyś: zmarłego lasu szum —
    Jeszcze błękitem się niesie...
Rzekłbyś, zmarłego lasu szum —
Ostatniem echem świętych dum —
    Płynie w gwiazdzistym bezkresie.

Nad bojowiskiem mrok i cień,
    (Milczący sen stuleci)
Nad bojowiskiem mrok i cień,
Tylko gdzieniegdzie drzewny pień
    Błękitnem próchnem świeci...

W albumie p. M. K.

»Długi przerwany pereł sznur«

Nie wiem, czy piję złote wino,
Czy wiosennego kwiecia pył?
Czuję na oczach bajkę siną...
Wspomnienia jakieś w górze płyną
Jakby girlandę z duchów wił.

Jak mocno pachną krwawe róże!
Płomień pochodni w dymach drży...
Łuny się kładą na marmurze,
I łzy z pochodni cieką duże —
Płonące krwawo smolne łzy.

Na biały marmur sypko spływa
Długi przerwany pereł sznur...
Snują się marzeń mdłe przędziwa,
I owych pereł struga żywa
Echowym pieśniom daje wtór...

Cienie się włóczą w kątach sali
Pomiędzy kolumn smukły las,

W kielichach wino krwią się pali —
I idzie stary sen z oddali —
    I siada blady... obok nas...

Zwolna mi w piersi serce chłodnie,
    Kiedy mu patrzę twarzą w twarz...
Księżyc nad morzem lśni pogodnie,
I perły płaczą, i pochodnie,
    I róże pachną...

Szalejowa tęsknota na duszę mi padła:
Zatrutych łez tęsknota posępna i chora.
Zmora czai się ku mnie z każdego zwierciadła,
Z każdej szyby okiennej świeci twarz upiora.

Pożółkłych wspomnień karty na kominku płoną
Iskrami świecą na nich tajemnicze runy...
Zeschłe kwiaty mi syczą jakąś wieść prześnioną
O zapachu kadzidła i sosnowej truny.

W powietrzu stęka głośno ciężki szept zegara
Nieubłagany, ciągły, straszny, monotonny...
W kątach włóczy się pustka i posępność szara
I lęk, — ten bezlitosny, głuchy lęk przed-
zgonny. —

I wiem, że gdzieś daleko, ktoś bardzo mi drogi
Patrzy w tę nocną pustkę, i wyciąga ręce,
I grozi, i przyzywa mnie, i ginie w męce
Samotny...

Żeńcy idą od pola wieczorem,
Z głośnym śpiewem wędrują w gromadzie,
I śpiewając przystają przed dworem,
Co zatonął cały w winogradzie.

Świerszcze strzygą i żaby rechocą,
Tarcz miesiąca powstaje w czerwieni,
Ogród mocniej zapachniał przed nocą
Wonią wczesnej pogodnej jesieni.

Ten chór nocy łagodnie daleki
Duszę dziwną ukaja harmonją;
Jakby dotąd tęskniła przez wieki
Za tą pieśnią, księżycem i wonią...

Jakby teraz zebrała swe plony
I wracała w dom by przodownica
Śni sen szczęścia, swój sen niewyśniony
Popod wschodem krwawego księżyca.

Stygnące słońce zamglone jesienne
Prześwietla srebrem szerokie ścierniska,
Lasy w zadumie stoją sine, senne,
Babiego lata nić na słońcu błyska.

Ziemia się cała roztapia w błękicie:
Jeszcze ostatnim, dalekim uśmiechem
Żegna minione bujnych plonów życie
I już jest tylko cudem, snem i echem.

Wszystko się blaskiem i wiecznością staje,
Że nawet droga wytarta w koleje
Smugami złota pod słońce jaśnieje,
Jakby w niebieskie gdzieś wiodła wyraje.

Czasem cień lotny płynących obłoków
Padnie na ciche rozmarzone wzgórza
I senną barwność falistych ich stoków
W nagłym głębokim szafirze zanurza.

I wtedy nagle ich złote jaśnienie
Zaćmi smęt długich fjoletów ugornych

Melancholijny ból dzwonów wieczornych
Męki żywota ostatnie wspomnienie.

A potem znowu promienie słoneczne
Pajęczynami rozsnute po roli:
Światłości Bożej ukojenie wieczne...
Czy ciebie duszo jeszcze życie boli?...

Dnia złoty wicher za góry pierzchł,
Widma przelotne w dal żenie —
Duszę mi koi błękitny zmierzch —
    Niby wspomnienie...

Niby wspomnienie rodzinnych stron
W nieznanych gwiaździc krainie...
Melancholijny wieczorny dzwon
    Po polach płynie...

Niby wspomnienie szczęśliwych lat,
Które znękanych w śnie wita,
Łagodnej wiary błękitny kwiat
    W sercu wykwita...

Łuny zachodniej żarzy się krew
W świętej cichości wieczoru,
Płyną psalmodye prastarych drzew
    Kędyś od boru...

Dnia złoty wicher za góry pierzchł,
Widma ulotne w dal żenie:
Duszę mi koi błękitny zmierzch —
    Niby wspomnienie.

WOŃ KWIATÓW

Moim kobietom

Byłam w sadzie porankiem w przedwiośnie:
W koło dzieci różowe od biegu
Rwały drobne pierwiosnki z pod śniegu
I pieściły je, gwarząc radośnie,
Że to w śniegu stulone tak rośnie...

W myśli miałam letnią ciszę skwarną,
Kiedy w bujne lipcowe godziny,
Oszalałe tęsknotą dziewczyny,
Skryte w kwietną gąszcz, pszczołami gwarną,
Spiekłe usta do krwawych róż garną...

Storczyki leśne tulą się w mchy;
Szeleszczą skrzydła anioła
Zdrowaś Maryja! Dziewicze sny...
Korona gwiazd u czoła...

Błogosławieństwem łono Twe drży:
Anielskie słowo boleśne!
Kwieciem rozkwitły męki Twej łzy,
Jako storczyki leśne.

Dziewanna

Południe idzie upalne przez wrzosowiska:
Wyschłego ziela oddechy płyną upojne,
Czasami szklarka przelotna pod słońce błyska,
Albo motyle na wrzosach i pszczoły rojne...
Z gęstwiny kwietnej dziewanna dumnie
wytryska.

Powietrze żarem drgającym skroś się przesyca,
Jakby niem chwiała koników harmonja szklanna.
Z sosnowych pni gorejących kapie żywica...
A wśród spiekoty słonecznej złota dziewanna
Stoi przegięta, miłosna, — jak południca.

Ta noc jest dziś pijana dziewiczością własną:
Na stawie rozmarzone posnęły łabędzie,
Gwiazdy od bladych tęsknot mrużą się i gasną —
Las wonnych lilji białych wybujał na grzędzie...

Rozwinęły się w bladej jasności księżyca,
Omuśnięte nocnego motyla skrzydłami;
I budzi się w nich wonią nieznana tęsknica,
Co złotym pyłem prątków biel kielichów plami.

Ciepłe powiewy nocne drzewami kołyszą, —
W klombach bzów oszalałe brzmią pieśni
słowicze,
Lilje na wiatr ślą swoje tęsknoty dziewicze, —

I wszystko jest omdlałą, żądną, letnią ciszą...
Idzie świt. Noc się staje chłodniejsza i sina,
Niby w przeddzień zaślubin umarła dziewczyna.

Majaczą w zmierzchu snów śnieżyste tuberozy...
Czujesz dławiącą rozkosz oszalałej woni,
Zmąconą tchnieniem zimnem przytłumionej grozy?
Dziewczyny młodej trup, z mirtowym wieńcem u skroni.

Żałobnych laurów liść i wiotkie dymy kadzideł,
I ten szał niedośnionej, zatrutej śmiercią rozkoszy...
Słyszysz żałobny szmer motyli nocnych skrzydeł,
Które pogrzebny hymn od żółtych gromnic płoszy?

Umarły szał się czai w tej dławiącej woni,

Organów głuchy jęk i białych piersi
marmury!
Dziewczyny młodej trup śpi cicho z mirtem
u skroni...

W tej woni dyszy tchnienie przyczajonej grozy...
Mdlejący żar rozkoszy... żądz rozpętane
chmury!
Majaczą w zmierzchu snów śnieżyste tuberozy...

Leżę pośród olbrzymiej tajemniczej komnaty,
Kędy srebrna fontanna — jak duch — szemrze
łagodnie,
Kędy w urnach śnieżystych smolne płaczą
pochodnie,
A pieszczotą zapachów pozdrawiają się kwiaty...

Na tle świetnych kobierców, w tęczach szkieł
staroświeckich,
Cyklameny skrzydlate jak rój białych motyli...
Smętna złota mimoza zadumaną kiść chyli...
Róże krwawe zwisają z marmurowych waz
greckich.

Na zmęczone źrenice opadają powieki:
Widzę fale tajemnych szafirowych roztoczy,
Strzał słonecznych zawieję, barwne pawich
piór oczy,
Tęcz pogodnych przelśnienia na topieli dalekiej.

Lecz powoli woń kwiatów jadem we mnie się
sączy:
Dale dziwów przebiega krótki sen gorączkowy:
We słonecznej spiekocie gaj majaczy palmowy,
Konający powoli od ljan kwietnych i pnączy.

Czasem, gdy w okna bije woń rezedy,
A rój świetlaków błędnych miga w sadzie, —
Na moje serce smętek dłonie kładzie:
Odeszłaś nie wiem gdzie i nie wiem kiedy...

Choć ciszę mącą tylko świerszczów syki,
Kiedy się patrzę na białe klawisze,
Jeszcze twe palce rozmarzone słyszę,
Płynące z falą Schumana muzyki...

Nieraz, gdy idę przez puste pokoje,
Wsłuchana w głuchą opuszczenia ciszę,
Nagle się fotel lekko zakołysze,
Jakby go stopy potrąciły twoje.

Z ogrodu bije mocna woń rezedy,
I rój świetlaków błędnych miga w sadzie, —
A mnie na serce smętek dłonie kładzie:
Odeszłaś nie wiem gdzie i nie wiem kiedy...

W parku wspomnienia byłam. Czy pamiętasz?
Łkała jak niegdyś fontanna kamienna,
Szumiała klonów aleja jesienna,
I park był cały samotny, — jak cmentarz.

Wszystko się zdało być niby tak samo:
Paw nawet krążył dokoła fontanny
I przez deszcz suchych liści bezustanny
Znaczył się świetną szafirową plamą.

I tylko jedną nową wieść ci powiem:
Klomb aster białych w wylocie alei
Zasypał oddech pochmurnej zawiei
Sztywnem, umarłem, jesiennem listowiem.

Znałam smutną duszę pięknej kobiety,
Co zbudziła się do wielkiego kochania
Zapóźno...
Gdy już uwiędłe liście dziewiczych marzeń,
Gorejące śmiertelnem złotem jesieni,
Zimny wiatr włóczył po stojących wodach...

A przejrzałam tę duszę w blady jesienny dzień,
Smutny — jak ona sama:

Kobieta szła ścieżyną kwietnego ogrodu,
Szeleszczącą suchymi liśćmi u jej nóg,
I przystanęła przed grzędą czarnych bratków,
Co roztulały się w słońcu stygnącem, — by
więdnąć.

Smutne były oczy bratków w ten dzień:

Rozstęsknione za ciepłym promieniem słonecznym
Na rozchylonych miłośnie fjoletach,
Za motylemi skrzydłami,
Za wiosną, —
A rozkwitłe zapóźno, — pod szronem jesiennym
W godzinę śmierci.
— Smutne były oczy bratków w ten dzień.

A kobieta uklękła na suchych liściach ścieżyny,
I ramionami
Objęła grzędę bladych, więdnących kwiatów
Takim uściskiem, —
Jakby już nigdy nie miała oderwać ust
Od ich żałobnych fjoletów...

A kiedy wstała, na ustach jej drżał uśmiech
Smutny, jak zapach bratków.

Zerwijmy sztywne, syczące nieśmiertelniki,
Zapalmy lampę na grobie zmarłej przeszłości:
Na każdym grobie migocą żółte ogniki,
Na każdym grobie szeleszczą nieśmiertelniki...

Pamiętasz lata dziecinne? przeszłość umarłą...
Pod kloszem starej serwantki sztywne bukiety...
Na tle kominka skroń siwa... spłowiałe karło...
W nieśmiertelniki ustrójmy przeszłość umarłą!

NAD MORZEM NOCNEJ MGŁY...

Pod szafirowym, gwiaździstym stropem nocy
Olbrzym król
W skamieniałej sarkofagu bezmocy
Wpatrzony w bezmiar śni.

Otchłanie oczu mroczne
Wślepione w otchłań gwiazd:
Rzekłbyś, że na ich dnie
Zapadły gwiazdy dwie.
Granitów twardych zbroja i skamieniały miecz
Od szronów osędziały u boku zastygł w głaz.

Śni w głuszy olbrzym król
Na sarkofagu Tatr...
Po reglach hula wiatr
I dolnych smreków szum
W granitów głuszę gna...

(Może to jeszcze miecza świst
Ostatniem zgina echem
Smereczy tłum...)

Po zboczach Giewontu mgły się pną:
Wianem lekkim suną od borów,
Od śpiących stawów, od mokrych łąk
Wiją się, snują w miłosny krąg...
Jakby chciały budzić z snu
Oplatają martwe łono
Tulą się do ust zastygłych
Jakby w nich szukały tchu...

Szepcą, wieją mgły czy sny,
Mgły łabędzie, mgły królewny,
Korowody jasnych mar —
Zwiewny
czar
wiosennych snów.

Śpiew z nizin

Gdyby miłość była kwiatem
Dałabym ci ogród z róż:
Krwawych róż, złotych róż,
Ogród cudu po za światem
W niegasnącym blasku zórz...
Gdyby miłość była kwiatem.

Gdyby miłość była falą
Dałabym ci śpiewny grób
U zaklętej góry stóp,
Gdzie się w toniach gwiazdy palą:
Śpiewający wodny grób.
Gdyby miłość była falą...

Od dolin echo słowa niesie
Przez nocnych mgieł skłębione zwoje
I topi kędyś na bezkresie...
Wśród głazów pnie się ludzi dwoje.

Pomnisz świetlicę moją?
Pomnisz płonące usta — róże?
Pieszczoty, które poją
Jak złote miodu kruże?
Słyszysz od dolin idzie gwar
Sady kwietne szumią, szumi las...
Jabłoni śnieżnych czar
Upoi, uśpi nas...
Pamiętasz w mej alkowie,
Gdzie w oknach kwitły bzy,
Gwiazdy padały z pował
Kiedyś mię pocałował...
Pamiętasz nasze sny?
Straszą mię szczytów widziadła, —
Wróćmy gdzie róż pąkowie!
Patrz, — gwiazda w otchłań upadła..

Zdaleka niesie wiatr
Smętną fujarkę juhasa,
Kędyś pod ścianą Tatr
Błyskają ognie watr

Stado się w halach pasa...
Dziewczyna patrzy w dal.

Dziewczyna

Prześniona szczęścia krasa!
Prześnione złote dnie!
Wiatr w reglach smreki gnie,
Trzęsę się cała na zimnie —
Ty sercem nie jesteś przy mnie,
Ty już nie kochasz mnie!

I wolno w dół odchodzi
Nie patrząc po za siebie.
W skłębionych mgieł powodzi
Jak pośród morskich fal
Smrekami wiatr kolebie
I błyszczą ognie watr.

I człowiek został sam
W granitów mrocznej głuszy
U szafirowych czasu bram

Z pieśnią swej własnej duszy
Sam.

Jeszcze mu oczy płyną w doliny
Jak ptaki zbłąkane do gniazd
A ducha przestwór ogarnia mu siny
Przepaścią gwiazd...
I zwolna spływa na niego od gór,
Od tej siklawy co z głazów się ciska
Od skał posępnych mrocznego urwiska
Od mgieł i chmur
Wielka, bezbrzeżna jak Wieczność —
Tęsknota...

Chciałby się modlić i w pustce bezkresnej
Szuka złotego piorunu Jehowy
Albo Chrystusa źrenicy bolesnej
Lecz słyszy tylko ludzkich bólów morze
Pod mrocznym stropem gwiazdzistej
posowy.

(Śni mu się kędyś w lotnych światów szumie
Starzec, któremu w skołatanej ręce
Gwiazd i słońc rojnych promienie się plotą...

Wszechmocny Twórca — w wiecznej trwogi
męce —
Jak dziecko co splątało nitkę srebrną i złotą,
Której rozplątać nie umie).

Dusza człowiecza w bezdennym prze-
stworze
Zbłąkana grozą Samotnej Godziny
Żebrze rozpacznie o pacierz matczyny
— I słyszy tylko ludzkich bólów morze. —

Lecz już z za świata w mgieł powodzi
Daleki, blady świt nadchodzi
I wieje górą rzeźwy chłód.
Król olbrzym niby z brązów lity
Oprawny w regli malachity
Rozjaśnia zwolna rysy mroczne.
Siklawy lotnej długie strugi
Świecą jak wąż srebrzysty, długi
Przez pokłębione mgły obłoczne.
Po tajemniczej gwiezdnej nocy
Staje się słońca wieczny cud
Dzień wznosi berło Mocy.

I oto wraz się staje człowiek
Jak kierz kosówki w słońcu,
Niby jaszczurka pośród skał:
Radby się w blaskach grzał,
Kwietnem by życiem żył,
W każdym obłocznym gońcu
W każdym wietrzanym podmuchu
Czułby istnienie własne,
— Łzy ciche płyną mu z pod powiek
Łzy — jasne.

Minęła oto noc
Z nieskończonością gwiazd
U szat,
Ze snu się budzi świat,
Ptaki śpiewają pośród gniazd
Słońce odbija się w źrenicy...

O, stać się pieśnią ptaka w duchu!
O, stać się częścią tajemnicy!

Nad morzem mlecznej, rannej mgły
Grającej blaskiem zorzy
Człowiek świat własny tworzy

I czuje duszę świata.
Myśl mu zapada w złotą jaśń
Jakoby w topiel wieków
Otchłanie czasu skroś przelata
I oto staje przed nim baśń:
Wieczyste ziemi sny.

Z pod gotyckiej mrocznej kępy smreków
Wychodzi ku niemu Dryada:
Zielonowłosa i śmigła
O ciele złotem niby kora sosny
Strojna pąkowiem wiosny
Brzegiem strumienia się skrada.

Dryada

Wróciłeś do nas znów!
Cóż cię przywiodło w góry?
Czyli ścigana kozica,
Czy gwiazd srebrzyste sznury,
Czyli tęsknica?

Siostry wysłały mię do ciebie
Z najrańszem słowem wiosny

Słyszysz, jak oddech jej radosny
Czubami drzew kolebie.
Oto witamy cię jak brata!
Pozostań z nami! ducha zwól!
Czem tobie ludzkiej nędzy ból?
Staniesz się częścią Duszy Świata.
Tu groza śmierci już nie władnie,
Tu — patrz — w przepaści mrocznej na dnie
Mgła się jak biały łabędź kładnie.
Zostań! we słońcu będziesz śnić
Jako pajęcza, długa nić
Jako wiosennych kwiatów pył
Będziesz odradzał się i żył.

Zbądź życia łez i nędz i grozy!
Czujesz pieszczotę ziemi tchu?
Patrz, ja w gałęziach białej brzozy
Co wiosna wstaję z śmierci snu
By znów
Z jesieni pierwszem złotem

Z pierwszym jaskółek odlotem
Zapadać w głuszę snów...

— A czem mi śmierć i czem mi życie? —
Gdy głogi staną w krwie,
Gdy wicher zwieje liście
Z płaczących brzóz,
Gdy smęt rozsnuje się w błękicie
Przychodzi skrzący mróz
Otulić mię w okiście...
— I w śmierci słodko śnię...

Z Dryady leśnej jasnych wieści
Przeczucia płyną czy wspomnienia
Ona się sama w czar zamienia
I ludzką duszę czarem pieści.

A oto z srebrnych wód kaskady,
Co wężem zsuwa się z przełęczy,
Wybłyska śnieżna skroń Najady
W ruchomych fal otęczy.
Blada jak posąg marmurowy
W pian rozbryżniętych strojna śnieg
Wodnica wspiera się o brzeg
I szemrze przedziwnemi słowy.

Dusza cię boli?
Gnębi cię wieków tajemnica
Zagadka ludzkiej doli?
Patrz... moich jasnych wód krynica
Wytryska z głębin ziemi wnętrza,
Pianami się wśród głazów spiętrza
A kiedy cicho toczy wody
To odzwierciedla w swojem łonie
Gwiazd nieskończone korowody:
Na dnie jej żywe niebo płonie
Zaklęte w wodną głąb...

My zwierciadlanych wód Najady
Jesteśmy strażą Tajemnicy
I gwiazd i gór i chmur
Zaczarowanych w fali łonie...
O, zstąp
W głębinę mej krynicy:
Uśpią cię szumnych pian kaskady
Oplotą nasze ciche dłonie...

I szepcą, — prawią — dziwne baśnie
Łagodnym szumem drzew i fal

O sercu, które cicho zaśnie,
O tęczach, które koją żal,
Że oto człowiek skłonił głowę
W przesłodkie ręce marmurowe...

Słońce powstało już nad mgłami
Prześwietla krwawo kłęby chmur
Złotą pożogą szrony plami
Na szczytach gór.
Stopionem złotem zbroja błyska
Na granitowej piersi króla,
A mgła się nocna wtula
W skalne urwiska.

ZWIERCIADŁO

Zasadziłam w ogrodzie wielki krzak paproci.
Przeniosłam go z boru, z żałobnej kaplicy boru, —
Z ciemnej kaplicy, pokrytej żałobą świerków.
A rósł tam na pniach drzew wypróchniałych, omszonych, iskrzących się zimnym blaskiem śmierci.
A krążyły ponad nim ognie złe, — świecące duchy bagien.
Przeniosłam go z boru, właśnie jak się przenosi skarb: pod osłoną nocy i chmur.
Przeniosłam i zasadziłam w ogrodzie swoim, by zakwitł.
Pod białą ciszą wiśniowych drzew zasadziłam krzak paproci leśnej; pod białym puchem kwiecia.
Codziennie polewałam go wodą zdrojową i łzami, czekając godziny wielkiej...

Codziennie całowałam jego liście, czekając godziny...

I przyszła noc cudu.

Ci, co szukali kwiatu, poszli w bory, w żałobne kaplice borów, między śmiertelne próchna i złe ognie bagien.

A paprocie na bagnach wyrosłe w dzikich ostępach — kwitły:

Jako gwiazda palił się ich kwiat; jako gwiazda, mówię, w ciemności.

I przyszła noc cudu.

Ległam piersią na ziemi i oplotłam ramionami krzak, czuwając.

Że łzy spadały w kielich roztoczonych liści.

I bladła noc, i nie zakwitła gwiazda...

I bladła noc, i weszło słońce, wielkie słońce dnia, i rozpaliło gwiazdy w kroplach moich łez.

Rozpaliło łzy moje, iż były jako gwiazdy cudu.

Gdy siądę nocą letnią nad brzegiem wody,
a topiel cicho szumiąca pieści mi stopy i płacze,
a wodne lilje u brzegu, jak rozprószone
gołębie,
tulą się w echa świateł na wodzie grające...
Kiedy miesiąc kołysany i cichy
lite pasy światła na fali tka, —
wówczas wstaje mi w myśli niby prześniony sen
życie dawno minione, fala powrotna wie-
czyście, —
zwierciadlana duszy mej baśń.

W grającej, prześwietlonej, rozkołysanej głębinie
byłam białą wodnicą o księżycowych warko-
czach:
chodziłam po złotem dnie,
w tęczach fal,
zbierając perły z roztulonych muszli.

Raz wir mię rzucił wodny na powierzchnię,
gdzie zobaczyłam chmurną, niedościgłą piękność
gwiazd.
(Kryształy bożych myśli w nieskończoności
zwieszone)
i powróciłam w głąb gwiaździstych tęsknot
pełna.

Lecz zabrakło mi mocy wielkiego pragnienia,
by się wyskrzydlić, choćby mgłą z głębiny
i w nieskończoność ulecieć do gwiazd.

Nie miałam siły rzucić wodnych tęcz,
i pałaców, i cudów topieli...
nie miałam siły rzucić wodnic sióstr,
z któremi zawodziłyśmy po głębi pląs;
ni wodników władających skarbami morza,
którzy gonili kręgi nasze lubieżnem spojrzeniem
i gradem świetnych pereł...

Nie miałam sił, więc tylko owionęłam się moją
tęsknotą

i poczęłam ją pieścić — kołysać szumem fal, —
i ukochałam niemoc moją i rozpieśniłam ją,
że stałam się harfiarką narodów topielnych.

I — błądząc w koralowych lasach zadumana,
lub stając w konch perłowych śpiewających
grotach. —
o mej tęsknocie długie grałam pieśni
na księżycowych strunach mych warkoczy. —

A pieśń niemocy złudną kołysały fale,
aż mi urosła — w klątwę. —

Ukochałam śpiącego granitowego rycerza
na sarkofagu Tatr.

O wędrowniczym kiju szukałam po świecie
kochanka:
kochanka wyższego nad życie i śmierć,
kochanka wieczystej miłości.

Jego głosem mi grały szumy wiosennych po-
toków,
jego snem i tęsknotą, nieukojoną po wiek,
kołysała mię topiel błękitnych nocy miesię-
cznych, —
A loty wichrów drogę ku niemu znaczyły.

Obaczyłam go w skrzące zimowe południe,

gdy na śniegach błyszczały porozrzucane
klejnoty,
niby miłości dziewosłębny dar; —
obaczyłam i duch mi się zerwał ku niemu —
jak ptak.

Z tęskniącemi ramiony i piersią pełną pieszczoty
poczęłam niestrudzenie iść do kochanka — ku
szczytom...
lecz czem wyżej się pięłam wśród skał spię-
trzonej pustyni,
tem beznadziejniej, dziwniej ginęły mi rysy
wyśnione —
aż ujrzałam się sama na sarkofagu z granitów,
wśród poszarpanych głazów i niezgłębionych
przepaści.
Jeno Siklawa hucząc z nagiej rzucała się skały,
i orzeł gdzieś się ważył ze skwirem ostrym
wśród chmur.

Próżno wzywałam klątwą szatana spełnienia,
próżno pytałam wichrów i orła i złomów
skalistych —

nie było piersi, która sercem mi miała od-
dźwięczeć,
nie było ust, do których łkała pieszczota
tęskniąca!
pustka, — i tylko wicher jęczy mi w chmurach
nad głową,
niby szloch niewidzialny — ducha...

A mnie świat zginął w oczach, i serce w ka-
mień zastygło,
i przeżyłam swe własne życie o wieczność
męczarni.

Wielkość! wielkość! Ze skały niby siklawa się
cisnąć,
i roztrzaskać na skałach pierś, która pustkę ma
w sobie!
W tę otchłań okrwawioną zachodem słońca
czerwonym,
paść, i lecieć przez wieczność — niby roz-
pędna lawina,
którą szatan zniszczenia opętał i strącił ze
szczytu! —

Wielkość! wielkość! i padłam czołem na zimne
kamienie
pod ciężarem umarłych snów niewyśnionej
miłości,
i leżałam bezradna w chmurnej zachodu pożodze,
zbywszy tęsknoty i szczęścia, pierwszy raz
w życiu samotna, —
samotna odtąd po wiek.

Kiedy wstałam, nademną nocy bezdennej głę-
bina —
wyiskrzona gwiazdami — mroczne koiła bez-
miary
szafirowem milczeniem...

Wacławowi Berentowi

Źródło

Czasem, kiedy mię gniotą mury i ludzie,
idę w bór,
i zazieram w tajemne głębokie jego wnętrze.

A kiedy widzę te żałobne czarnych świerków
kaplice,
i melancholję białych płaczących brzóz,
i rudą wybujałość sosen żywicznych, —
te pnie zmurszałe mchem i parościami porosłe —
to zdaje mi się, że niegdyś... niegdyś...
w tych nieprzebytych gąszczach... byłam...
dziwożoną,
co uciekała, jako dzikie sarnię, przed rogów
myśliwskich muzyką.

I zwolna na falach wiatru przypływają do mnie
wspomnienia, —
dalekie, rozpłynięte echa przeszłości;

a w myślach mi powstaje całe to życie minione:
utraconego szczęścia wiecznie żałosna historya...
pamiętam ją i rozumiem.

Chodziłam w chaszczach gibka, włosami jeno
okryta,
stroiłam się w jarzębin i kalin płomienne grona,
a paprociami pokrywałam nagość mego ciała,
przepojonego wonią bujnej sosnowej żywicy.

Znałam wszystkie uroki gwiaździstych kwiatów
paproci,
i tańce błędnych ogników nad zaklętemi skar-
bami,
a żyłam wolna, samotna — w głębi niezmiernej
lasu,
który sam tylko był jedyną mą miłością.

Aż obaczyłam kiedyś w jednem przejrzystem
źródełku,
w czystem źródełku leśnem ujrzałam kiedyś
swą postać:

i zapatrzona stanęłam przed swojem własnem
odbiciem
z zmąconą duszą źródlaną...

A odtąd ptaki krase, i wszystkie drzewa
szumiące,
i wszystko kwiecie stulone, — wiecznie pa-
trzało już na mnie —
a z oczu we mnie wślepionych mój własny
śmiał mi się obraz,
ustrojony w samotność i w dziką wolności
poezyę.

I oto kiedym wiosną stawała na leśnych po-
lanach,
w wysokiej trawie tonąca;
i wyciągła ręce na ciepłe powietrze,
pragnąc prześwięte słońce ogarnąć uściskiem...
— i kiedym się jesienią kryła w posępnych
wykrotach,
gdzie słychać jeno szmer usychających liści, —
i — tuląc czoło do wilgnego pnia walącego się
dębu —

łez kilka rzucić chciała za odchodzącem
latem —
Zawsze, niezmiennie, siebie widzieć musiałam
przed sobą.

Aż wreszcie stało się, co stać się musiało...
co jest.

Na drogę życia wszechlitosna Dola
zesłała mi swój dar.

Dziwny dar: ptaka o zbyt słabych skrzydłach,
ptaka nad miarę rwącego się w lot:
bijące ludzkie serce.
Dała mi w ręce i kazała ukochać je i nieść
wysoko ponad głową
przez całe życie.

I oto idę, — wysoko nad głową
w kielichu złożonych rąk,
niby krwawo bijący płomień,
niosąc bezlotnego ptaka.

Idę ścieżynami stromemi po górach,
po niedostępnych cyplach wirchów skalnych, —
by mój tęskniący ptak
miał wiatr i słońce.

A kiedy widzę w dali krwawe błyski watry —
uciekam —

bo wiem, że ludzie otoczyliby mię zwartym
kręgiem
i oglądali serce płomieniem bijące;
a długie, ciężkie ich cienie
zakryłyby mu błękit niebieski i słońce,
bez których stygnie mi w ręku i mrze!

Idę więc sama po niedostępnych rysach...
a kiedy mi z pod nóg
piasek i gruz
osypuje się w przepaść, —
blednę i modlę się
ja, któram dawniej nie znała modlitwy.
Bowiem drżę, by nie padło w otchłań ziejącą —,
krwawiąc się, roztrzaskując na głazach, —
serce, które miłośnie niosę ponad głową.

A kiedy wreszcie cicho zejdzie ku mnie
z słodkim uśmiechem wszechlitosnej Doli
śmierć:
zatrzymam kroki moje na najwyższym szczycie,
i całą mocą
rzucę mojego bezlotnego ptaka
w słońce!

SPIS RZECZY: